NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

KRAKÓW
GRUDZIEŃ 1935
ROK — II —
NUMER — 2 —
CENA 25 GR.

ROK II. GRUDZIEŃ 1935. NR. 2.

NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKI MŁODYCH

JANUSZ TRYBOWSKI.

LITERACKI FRONT WSI.

Decydującym i najważniejszym czynnikiem w jakości, rodzaju i stopniu wartości pracy poety jest pochodzenie i środowisko. Wpływają jeszcze inne elementy jednak już o mniejszem znaczeniu. Do nich trzeba zaliczyć wykształcenie, zawód i zainteresowania danej indywidualności. Opierając się na środowisku i pochodzeniu poszczególnych jednostek możemy całą twórczość współczesnych poetów podzielić na dwie zasadnicze grupy. Pierwsza to poeci wywodzący się z rodzin przeważnie staro - mieszczańskich, żyjący w większych zbiorowiskach ludzi, a więc w miastach, tworzący na tematy najbardziej im znane, z któremi się najwięcej stykają w życiu codziennem. Dominującym zatem zagadnieniem w ich utworach jest miasto i elementy z niem istotnie związane (ruch, tempo, maszyna) nie wyłączając problemów społecznych zawsze wyłaniających się w każdem większem zbiorowisku miejskiem. Nie wynika z tego, aby nigdy nie „zgrzeszyli" poematem wykraczającym poza stałe, oznaczone granice ich tematu. Owszem, bardzo często można spotkać kuszenie się o to, lecz zwykle te „wypady" t c h n ą piętnem urbanizmu.

Bezsprzecznie s ł u s z n e m jest twierdzenie Walt. Darre'a (w dziele „Das Bauerntum als Lebenquelle der nordischen Rasse"), że mieszczuch reprezentuje kulturę nierdzenną, nieistotną i zmienną, — podczas gdy chłop jest reprezentantem czystej nieskażonej kultury wyrastającej z krwi i ziemi. O ile miasto reprezentuje rozum i nerwy, to wieś spokój i rozwagę. Do drugiej więc grupy zaliczę poetów wywodzących się z środowisk wiejskich i piszących wyłącznie na tematy traktujące o polskiej wsi. Jest ona może słabiej reprezentowana, ale niemniej ważna. Tę kategorję poetów tworzą przedstawiciele ludności wiejskiej oraz pierwsze pokolenie inteligentów wywodzących się z rodzin czysto chłopskich. W niniejszym artykule zajmę się tą właśnie grupą poetów.

Wieś miała i ma wielu swoich przedstawicieli w literaturze. Począwszy od ludowych poetów samouków poprzez więcej lub mniej znane talenty a skończywszy na genjuszach polskiej poezji. Utwory poetów tej najniżej położonej kategorji, prostych chłopów, którzy gwarą wiązaną tylko niewyszukanemi rymami wyrażają na swój własny sposób to co myślą i czują są bezwzględnie wartościowe. Przedewszystkiem zaprzeczają mylnemu zdaniu ogółu, że wieś to siedlisko ciemnoty i zacofania, oraz są niezbitemi dowodami istnienia samorodnej kultury duchowej wsi, która jest zapoznana i tem samem niedoceniana przez resztę społeczeństwa. Chłop upomina się w ten sposób o należne mu stanowisko w kulturze państwa. Dzisiejsza wieś posiada wielu poetów - chłopów. Wspomnę Jantka z Bugaja, Nędzę z Kościelisk i wielu innych, o których w przyszłości szerzej i osobno pomówię na tem miejscu.

Ważniejsze stanowisko zdobywają w literaturze poeci pochodzenia chłopskiego, ale o pewnem wykształceniu, przeważnie uniwersyteckiem. — Ci reprezentują wieś godniej, podporządkowując się pod ogólne zasady panujących prądów literackich.

Taki poeta jest zasadniczo gorącym przeciwnikiem urbanizmu — i głosi powrót do natury. Charakterystycznem jest, że poczuwa się do pewnego rodzaju apostolstwa, uważa się za społecznika, reformatora i przywódcę narodu.

Najciekawszymi przedstawicielami tej klasy młodych regjonalistów (pomijając starszą generację, np. Zegadłowicz, Podhorski - Okołów) są M. Czuchnowski, W. Skuza, St. Młodożeniec, St. Czernik, Z. Koterba-Dziuban, A. Oleha i wielu innych. Tworzą oni zupełnie nowy chłopski front literacki. W nich najjaskrawiej przejawia się psychika szerokich mas ludu wiejskiego, gdyż oni kształtują to nowe oblicze chłopskiej kultury narodowej. Front ich przenika na wieś i zyskuje sobie z każdą chwilą coraz szerszy rozgłos. W niniejszym artykule staram się scharakteryzować kilku autorów jako najbardziej typowych poetów regjonalnych. — W charakterystyce opieram się wyłącznie na ich utworach, wychodząc z założenia, że abstrahując od pewnej dozy zakłamania czy też zmyślenia, na podstawie utworu otrzymujemy bezsprzecznie dobrą ilustrację psychiki autora. Osobowość bowiem poety przebija się zawsze poprzez gąszcze metafor i porównań i objawia nam swoje prawdziwe oblicze ideowe.

Marjan Czuchnowski początkowo piewca wyłącznie piękna natury, stopniowo przeradza się w bojownika, reformatora, za jakiego go można dzisiaj uważać. Występuje zbyt śmiało, co pociąga czasami niezbyt miłe konsekwencje, jednak swą ideę przeprowadza z chłopską zawziętością. Poeta apoteozuje życie a przedewszystkiem w naturze, do której zalicza też człowieka, jako część jej organicznie z nią złączoną. Wieś kocha gorąco, zna ją i jej wady i bolączki. Konstruktywność jego wierszy, skróty odzwierciedlające doskonale stany psychiczne, lecz czasami — zacierające wyrazistość obrazu, prymityw ujmowania, czasem zwrot trochę brutalny, lecz dosadny, cechują twórczość autora. Szkoda tylko, że taki sposób tworzenia obrał sobie Czuchnowski, bo jego poezji szerokie masy ludu nie zrozumieją, skoro każdy wiersz wymaga dokładnej interpretacji. —

W każdym bądź razie Czuchnowski wyraża swą odrębną indywidualność twórczą. Niewątpliwy talent zapewni mu we współczesnej literaturze polskiej stanowisko trwałe i indywidualne, niezależne oczywiście od ideologji społecznej. Reprezentuje typ władczy, dąży do rozwoju własnej osobowości, dbając równocześnie o uformowanie swego środowiska. Poezją swą działa na nastrój psychiczny swych zwolenników — przez co wszczepia w nich i rozbudza burzliwe fermenty oraz nadaje kierunek własnej idei. To też nie trudno mu będzie zdobyć za pomocą poezji przewodnictwo duchowe nad ludem. Jako rzut światła na ideologję poety może posłużyć wiersz „Naprzeciw“:

Należy życiu krzepko kroku ciepłego dotrzymać.
Uwielbiać zdrowie i miłość namiętną, jak konne wyścigi,
odwagę materji, zwycięstwo ciała i świeże powaby modnego ramienia,
świat rzeczy, — myślą człowieka ukuty . . .

Drugim pokrewnym ideowo, młodym poetą inteligentem z ludu — jest Wojciech Skuza. Podobnie jak Czuchnowski walczy o prawa ludu, lecz zakrawa raczej na rewolucjonistę. W poezji jego roi się od wykrzykników pod adresem obecnego porządku rzeczy, haseł i nawoływań do walki! — Krew, kości, szkielety i szubienice plątają się w niektórych wierszach tego autora, że należy się dziwić, iż ostre gdzieindziej nożyce cenzora w tym wypadku dopuściły do wypłynięcia na światło dzienne niektórych okrzyków tego chłopskiego radykalisty w tomie poezji. Zbyt wielka wiara w siebie, cechująca w przeważnej części zresztą początkujących literatów wydaje się raczej komiczną. — Z jego wierszy przebija się z komunizmu czy też hitleryzmu naogół dążność do przewrotu, któryby przyniósł powstanie chłopstwa „na miastach spleśniałych“. Dziwnie to brzmi zważywszy, że autor posiada dużą współczesną kulturę literacką. Pozatem poezja jego odznacza się sugestywnością obrazów, bardzo misternie malowanych, rytmiką i dynamiką słowa. Jako przykład podam refleksje następujące po szumnych wezwaniach do czynu (Kolorowe słowa, Oberek):

Westchnijmy razem, — bo ponad wszystkich chcenia
my jedni po wsiach nie możem swego posiąść;
innym przynoszą noce hulanie, śnienia,
a nam? wciąż biedę, co się jak opar nosi.

Zgoła inne typy reprezentują Czernik i Dziuban. — Autorzy ci w swych wierszach zdradzają pewną równowagę. Nie wzywają do buntu, nie nawołują do czynu, lecz starają się zwrócić uwagę na piękno wsi zapomocą równie pięknych wierszy.

Stanisław Czernik już dawno dał się poznać ze swego zdrowego talentu lirycznego, który czerpie bezpośrednio z uroczej nadwiślańskiej ziemi. W niezwykłem nabożeństwie wielbi pola i zboża, zachwyca się krajobrazem, którego jest gorącym entuzjastą. Poezja jego ma jednak charakter ściśle lokalny. Tematem tylko ziemia opatowska, w której autor mieszka, co wygląda mniej więcej tak jakgdyby nie istniało nic poza jego okolicą.

Słusznie poeta skarży się na zapoznanie wsi i brak właściwego odczucia przyrody:

Niechże się zjawi wreszcie ten gramatyk,
ten upragniony doktór - polonista
co cię w formułki przemyślane utka
pozna, określi: — korzenie, łodygi, kwiaty,
i powie: żeś rzeczywista,
i raz sam stwierdzi, żeś nie podła wódka,
nie denaturat, samogon, siwucha,
która wystarczy przy koniach i błoniach,
lecz, że treść twoja, jeśli alkoholem
mierzyć ją mamy, — to conajmniej koniak
co dziwnie, nagle przy wargach wybucha,
kiedy go dotknie wieszcz — mistrz i fanatyk.

Zenon Koterba-Dziuban naprawdę utalentowany poeta — zarazem artysta-malarz i w swych wierszach rozwija nam przed oczyma barwne obrazy wsi polskiej w życiu potocznem, codziennem, entuzjazmuje się jej pięknem i kolorystyką. Od czasu do czasu rzuca pewne światło na bolączki wiejskiego społeczeństwa, wytyka jego wady, choć zasadniczo nie bawi się w moralizatora. Styl jego jędrny, soczysty o dużych zdolnościach kompozycyjnych.

Dla przykładu zamieszczamy jeden wiersz ze zbiorku „Tańczący w sadzie“, który oznacza się oryginalnością swoistą temu poecie.

Jan Sajdak siedzi okrakiem na ławce —
nad nim się niebo weseli gwiazdami —
wolno zdejmuje dziurawego buta,
aby naciągnąć zielone skarpetki
na nogi, sine od lutego mrozu.

Jan Sajdak śpiewa majową piosenkę
do swych skarpetek przedziwnie zielonych:
„O, teraz będę słońce nosił w bucie,
lato w niebieskich, spuchniętych paluchach
i złote gwiazdy pod nabrzmiałą piętą.

— Witam cię blady, pijany księżycu —
patrz — oto lecę nad miastem do ciebie
z nagłym rozmachem, gorąco i chyżo.
na lewo, prosto, naukos, do góry, —
pionowo, żwawo, wesoło i szumnie“.

Jan Sajdak śpiewa, rośnie topolowo,
Wznosi się w górę, rozprzestrzenia mocno,
kołuje w chmurach beztrosko jak gołąb,
tańczy na śniegu dziarsko przytupując:
ach, jakże dobrze, błogo i zielono.

Jan Sajdak nigdy nie układał wierszy,
ani nie mówił gorąco o sztuce —
dopiero dzisiaj, z zielonych skarpetek
wystrzelił w niebo szczero - złoty płomień.
— Witam Cię Janie Sajdaku — Kolego.

* * *

Tych czterech autorów wybrałem jako najbardziej typowych nie kierując się oczywiście stopniem ich wartości. Poza nimi podąża cała plejada drobniejszych autorów i kandydatów na poetów, którzy rzucone przez tych przedstawicieli hasła pochwytują i szerzej rozwijają, komentują i przetrawiają. Chłopski front literacki dąży świadomie i planowo do wytkniętego celu i sądzę, że to oblicze kultury narodowej chłopstwa będzie dalej się pomyślnie kształtowało, zyskując w literaturze niepoślednie stanowisko.

Janusz Trybowski.

———oo———

KUHL i KRUCZKOWSKI.

Choromański w Krakowie.

Z Michałem Choromańskim związaliśmy się, — że użyję modnego określenia — organicznie. Poniekąd, jak pasożyty: wieczór autorski, ważniejsze wydarzenie w życiu Krakowa, sala Kopernika pełna, a my na cudzej sławie robimy interes, sprzedajemy pierwsze egzemplarze I-szego nru „Naszego Wyrazu“.

Na drugi dzień po historji o „nieszczęśliwym“ Hiobie — idziemy na wywiad.

Lekki niepokój: nagroda P.A.L. dla młodych, trzydziestka skończona — a my przecież mamy przeciwstawiać się 35-letniej młodości.

Krótka historja pisma, parę informacyj i nasze obawy.

— Ależ gdzie tam. To przecież tak odległe już czasy, ta nagroda. Rzeczywiście, charakterystyczna dla naszego życia artystycznego jest ta powódź młodych. Nietylko w literaturze. Znam malarza po czterdziestce, który uchodzi za młodziana, czołowego przedstawiciela młodzieży. Nie wiem, czemu to przypisać. A jeżeli chodzi o prawdziwą młodzież, to odnoszę się do niej z dużą sympatją. Mam dużo takich znajomości. Stykam się z młodzieżą akademicką z najrozmaitszych ośrodków, koresponduję. Miło mi jest, że mogłem wam pomóc moim wieczorem autorskim.

Właściwie nie wywiad, a rozmowa. Właśnie to zainteresowanie młodzieżą. Charakter naszej grupy, kierunki artystyczne. Odpowiadamy. — Rozmaite pytania. Tematy zmieniają się, zaczynają się ogólniki. Naraz zatrzymujemy się.

— Moja konstrukcja. Weźmy wydarzenie z życia codziennego. Wypadek na ulicy, człowiek przejechany przez samochód. W pierwszej chwili wiemy tylko tyle. Dopiero potem dowiadujemy się o szczegółach wypadku. O tem, że przechodzień nie był uważny, że uległ wypadkowi z własnej winy. Nie uważał, ponieważ w ostatnich dniach był wogóle mocno roztargniony. Przyczyną roztargnienia były jakieś niepowodzenia i t. d. Zaczyna się cały łańcuch. A na początku wiemy tylko o ostatnim momencie. Jak z tego wynika, konstrukcja powieści polegająca na opowiadaniu „od końca“ ma pełne uzasadnienie. Konstrukcja „Zazdrości i Medycyny“ nie była jakimś specjalnym, oryginalnym pomysłem. — któryby swoją nowością tylko pozornie zafrapował publiczność. To była poprostu wymowna forma. Bo właśnie forma powinna mówić. — Powinna mieć swoją własną „treść“ i powinna być wyrazem rzeczywistości, taką, jaką nam samo życie narzuca.

Teraz to życie. Problem jest ważny, obszerny, mówimy o nim dłużej.

— Kładę silny nacisk na związek z rzeczywistością. Artysta musi być „życiowym“, mieć silny kontakt z ludźmi „zwykłymi“. Mojem zdaniem t. zw. „poeci kawiarniani“ są przeżytkiem. Mamy zresztą dosyć przykładów, że obrazy własnej jaźni, zmagania z własnym Bogiem i t. d. nie biorą. Bo to jest nieżyciowe. Utwór artysty musi być wynikiem rzeczywistości, a nie fikcji literackiej. — „Literatura wtórna“. Spotyka się ją na każdym kroku. Sądy, obserwacje, myśli, światopogląd przeciętnego inteligenta, są wynikiem lektury. A to przecież nie musi być prawdą. Nieraz sam łapię się na gorącym uczynku. Piszę opowiadanie: oskarżony i adwokat. Opowiadanie rozwija się, przychodzą djalogi; nagle spostrzegam, że to co piszę jest bezpodstawne. Że nic nie wiem o adwokatach, a to co piszę, to jakieś reminiscencje z przeczytanych powieści. Nie znam żadnego adwokata nawet. I dopiero zacząłem poszukiwania, zawarłem znajomości i — dowiedziałem się rzeczy zupełnie sprzecznych z dotychczasowemi mojemi wyobrażeniami. Jak z tego wynika, można nieraz grubo wpaść.

— Dlatego też nie uznaję artysty, który potrafi się separować od życia. Twierdzę nawet, że artysta powinien mieć w ręce jakiś fach zupełnie nie mający nic wspólnego ze sztuką. Niech ten człowiek żyje sobie między ludźmi, niech styka się z życiem takiem, jakiem ono jest. Dlatego też młody człowiek, materjał na pisarza, absolutnie nie powinien iść na polonistykę. To wielka i niepotrzebna nieostrożność. Belfrów jest dosyć. Literatury nie mogą uczyć literaci. Mamy doskonałe przykłady w najnowszej literaturze światowej. Pojawili się pisarze, którzy ani nie kształcili się specjalnie w tym kierunku, ani wogóle nie byli „zawodowymi“ literatami. Codzienni ludzie. A zresztą uważam za niedorzeczność mówienie o jakiemś powołaniu artystycznem. Nic podobnego. Niema ludzi o specjalnem przeznaczeniu. Jest tylko pewne jakby ciśnienie, które powoduje, że cały zapas energji wyładowuje się w jakimś kierunku. A w jakim, to rzecz drugorzędna. Taki Conrad — był kapitanem statku, jeździł po całym świecie, wyżywał się. Jedno skończyło się, zaczął drugie — został pisarzem.

Tempo słabnie. Robi się cisza. Coś trzeba mówić. „Są ludzie, którzy piszą, choć nie powinni“.

— Grafomanów powinno angażować państwo i eksploatować. Ostatecznie trzeba i takie wartości wyzyskać. Niema obawy, żeby zajęli miejsce ludzi wartościowych. Prawdziwa indywidualność zawsze znajdzie sobie drogę.

Rozmowa schodzi na poezję.

— Wiecie panowie, niestety nie rozumiem wogóle poezji. Robi to na mnie wrażenie, jakby kto linę ułożył na ziemi i zaczął na niej balansować, zwłaszcza obecnie, gdy wszystkie usiłowania poetów idą po większej części w kierunku zdobyczy formalnych, a nie treściowych. Mnóstwo skrajności, mnóstwo sprzecznych zdań, mnóstwo większych lub mniejszych zdobyczy, ale wyłącznych, zamkniętych samych w sobie. Zazwyczaj potem ukazuje się ktoś, kto wybiera między temi skrajnościami jakąś drogę pośrednią i staje się naprawdę wielkim poetą, ale nie zapanuje żaden z tych bojowych kierunków dzisiejszej poezji.

— Należałoby się zastanowić raczej nie nad tem jak, lecz co pisać. Do literatury trzeba wnieść nowe wartości treściowe i tutaj wy, młodzi, macie drogę otwartą. I tak znowu wracam do kwestji kontaktu z życiem. Przecież przeżycia erotyczne Widmara, z zawodu rentjera, są zupełnie różne od przeżyć kogoś zapracowanego i zawalonego codziennymi kłopotami. Skala uczuć zmienia się ze środowiskiem.

Pytamy o plany na przyszłość, a zwłaszcza o zapowiadany oddawna „Szpital Czerwonego Krzyża“.

— „Szpital Czerwonego Krzyża“ ukaże się niebawem, na gwiazdkę. Przerwa między zapowiedzią a wydaniem spowodowana była względami czysto artystycznemi. Zacząłem tę powieść pisać w czasie choroby, następnie przerwałem ją, w szpitalu, aby potem ująć rzecz perspektywicznie. Niebawem wyjdzie również tom nowel. Nowele te są także pisane i dawniej. Teraz,

kiedy już przedstawia kompozycyjnie kilka z nich jedną całość, mogę je wydać.

— Odczytany na wczorajszym wieczorze „Mąż boleści“ jest fragmentem z większej całości.

— Najważniejszą jednakże rzeczą, która wyjdzie zresztą nieco później, jest powieść: „Schodami wgórę, schodami wdół“. — Rzecz bardzo poważna. Przekrój naszej rzeczywistości dzisiejszej. Szereg warstw społecznych. Robota wymagająca dużo zachodu, badań, wizyj lokalnych (niejednokrotnie trzeba jechać w teren, by wyświetlić jakąś kwestję) — i dlatego będzie tak długo trwało. Ale muszę Panów zapewnić, że przykładam do niej dużą wagę i chcę wydobyć to, co najlepsze.

— Co do publiczności krakowskiej, to odniosłem jaknajlepsze wrażenie. Takiej uwagi, takiego skupienia w czasie wygłaszania swoich utworów nie widziałem może nigdzie.

— A co do interesu, jaki Panowie ubiliście przy tej okazji, proszę przyjechać do Warszawy, będę miał podobny wieczór autorski — może też pójdzie — dodaje z uśmiechem nasz rozmówca.

Obiecujemy przysłać naszych warszawskich współpracowników — i żegnamy się.

Kuhl i Kruczkowski

HOŁUJ TADEUSZ.

Siedemnasty do dziewiętnastego.

Fragment z powieści p. t. „Ludzie konwaljowi“.

Sierpień. Marta ogarnia dolinę długiem spojrzeniem. Białe srebrzyste brzozy coraz wolniej szemrzą listkami. Boże! Kiedy ustaną, kiedy ustaną. Marta wraca z pola. Zbiega szybko z pagórka. Kroplisty, słony pot przylepia bluzkę do piersi. Gorąco! Koło białych brzóz spotyka Joachima. Przystaje na chwilę, cała zdyszana, rozgrzana, młoda.

— A! proszę... Marta! Gdzież to tak szybko... do domu?!

Marta śmieje się cicho.

— E! Joachim wi, że do domu nie spieszę się. A Joachim co robi? Znowu te książki... jej!?

— Uczę się, Marciu, uczę.

Joachim wstaje, zbiera do teczki książki.

— To może już... i odprowadzę Marcię.

Szli pomału, w milczeniu. Kobieta chciała coś powiedzieć, niby, że żydki to są zawsze tacy pilni, ale wstrzymała się... jakoś niewypadało. (A Joachim to zawsze... miły chłopak).

Milczenie zaczęło być już przykre. Joachim zrywał po drodze białe rumianki. Schylał się, zrywał, wyprostowywał.

Weszli na miedzę polną. Z obu stron rosły głogi.

(Poco się odezwał, czemu spytał... czemu?).

— Marciu... powiedzno... czy ci w domu nie wypominają, nie ganią... nie...

Zawstydził się, zamilkł. Kobieta patrzyła nań nieufnie, trwożnie.

— Nie... teraz już nie... — a po chwili dodała: — Joachim dlaczego się pyta? Czy to pierwszy raz we wsi...

Zachłysnął się jakimś nadlatującym poszumem wiatru, jakąś ciepłą falą.

Blade wargi poruszyły się nerwowo i nagle:

— Nie twoja wina, Marciu, ani jego. Tak powinno być: ludzie powinni się kierować wolnym wyborem, zamiast ganić ciebie, winno się ganić tych, co myślą i czynią inaczej. Ludzie wolni. Marcin... Gdyby teraz Jan żył: — zagnali go gdzieś pod Gorlice — przeciw komu? Poco? Zginął psiakrew, nawet nie wiesz gdzie...

Mówił szybko, przed siebie, w przestrzeń. Marta szła obok niego potulna i cicha. Nie rozumiała go. Joachim przesycony intelektualizmem swego środowiska, środowiska marksizujących studentów — rzucał fragmenty zdań, rozmów, które zdawały się być jego poglądami.

Dlaczego oboje myśleli o tem? Teraz, w gorące południe?

Marta czuła gorycz długo doświadczanych upokorzeń, długo znoszonych krzywd. Cały ogrom drobnych fakcików, zdarzeń, niedopowiedzeń odżywał nieświadomie — a potężnie. Nie umiałaby określić tego uczucia. Poruszone zdaniami Joachima wspomnienia, które zgubiły się dawno w szarudze życia, zdrobniałe imiona... zdrobniałe słowa Ludki.

— A! Ludka...

Joachim właśnie mówił:

— A Ludka, jakże się ma...

Przed domem bawi się dziecko. Marta odbiega Joachima.

— Córuś, córuś!

Najprostszemi pieszczotami darzy ją, czerwonemi rękoma gładzi jasną czuprynę...

— Ludka... Ludka!...

— Pamiętasz ten dzień. Po deszczu było. Jan był smutny. Przecież już jutro... Jutro z Ignacem od Przerębskiej i Kazkiem Turowym odjadą do Krakowa. Och! Jak cieszyłaś się w pierwszej chwili, że Jan będzie miał mundur, że nie będzie musiał pracować na kopalni. A potem? Przyszło to nagle, niespodziewanie. Zdjął cię płacz, że może go krzywda spotkać, że może zostać ranny...

Po deszczu było.

Szliście pod cmentarz. W domu zostawiłaś matkę i siostry. Płakały.

Jan uśmiechał się nawet. Przyśpiewywał sobie (...och... co on to śpiewał?). Mówiłaś mu, żeby pisał dużo, żeby uważał na siebie, że jutro pójdziesz pewno na kartoflisko a Mańka pojedzie do Trzebini...

Było pod wieczór.

Ciepła czerwoność nadchodziła: nieuchronna, konieczna.

Wtulił cię w cień, zamknął w ramionach. Biło ci serce silnie... głośno... Chciałaś coś powiedzieć, zapytać. Słowa grzęzły w krtani. Wzruszenie trzepotało się, drżało...

Leżałaś jak jasna plama w ciemnej zieleni.

Jan...

Wszystko było przecie proste i nieuchronne i konieczne...

A potem te listy.

To oczekiwanie. Miesiące. Nadeszło — to.

Matka szeptała przed świętym Janem pacierze. Do izby naszło się tyle kobiet. Ból.

1917. Jan zginął. 1918. Głód. 1919... 1919...

Trzecie piętro.

— Marto! Maarto!

Czarny ciężki stół. Małe, wąskie dłonie. Białe mankiety. Czarna marynarka. Wysoki kołnierz. Mała głowa. Siwe, dobre oczy.

— Marto, proszę mi przynieść te nożyczki z gabinetu, te z szafki koło okna...

Marta wychodzi. Dwa ciemne pokoje. W jadalnym okrągłe lustro podparte faunami. (Te twarze...).

Marta zatrzymuje się przed lustrem. Patrzy w nie i myśli o ciepłem, żywem słowie...

— Ludmiła...

Tadeusz Hołuj.

AUGUST SOCHOR.

Kryzys Kultury.

Objektywna introspekcja w życie kulturalne i duchowe naszego społeczeństwa ostatnich lat nie usposabia optymistycznie. Bezideowość. marazm. apatja. brak zainteresowań w dziedzinach literackich. naukowych narastają jak przykry wrzód na rodzimej kulturze.

Jedni. jak A. Słonimski [1]) doszukują się przyczyn w nieodpowiedniej atmosferze.

„Dawniej — pisze były okresy. gdy w przyjaznej. żywej. podnieconej atmosferze rywalizacji i wymiany poglądów rodziły się wielkie i trwałe wartości.

Byli wileńscy filomaci. był czas walk rewolucyjnych i niepodległościowych. łączących. zbliżających najróżnorodniejsze temperamenty. Nawet czasy krakowskiej cyganerji miały atmosferę płodną. sprzyjającą sztuce. A dzisiaj — konkluduje. — słyszy się z ust naukowców frazesy o „ważności nauki dla obrony państwa“, gdy zaś chodzi o literaturę to i tam luksus niezależności jest prawie niedostępny“.

J. Skiwski [2]) narzeka na bezideowość i bezruch kulturalny i w poszukiwaniu przyczyn schodzi na płaszczyznę gospodarczą. zaś St. Peters [3]) powiada. że zwalanie wszystkiego na kryzys byłoby dziś naiwnością. Niekonkretnie wyraża się, że są jakieś przyczyny głębsze natury psychicznej. jakieś urazy. — Mniejsza o wnioski poszczególnych pisarzy. stawiają nas oni jednak wobec niepokojącego faktu. obniżenia zainteresowań kulturalnych. To samo zjawisko da się zauważyć wśród nas młodych.

Oczywiście nikt nie myśli generalizować. ale prawdą jest. że odsetek ludzi o zainteresowaniach intelektualnych w Polsce jest znikomy. Znajdzie się zapewne parotysięczna gromadka ludzi. która czyta, żyje w ustawicznej trosce o kulturę i jej dorobek. ale jak skromna ta liczba w porównaniu do stanu zagranicy. Gdzie ten entuzjazm dla nauki i literatury, jaki widzimy np. u młodzieży sowieckiej?

Jedną z przyczyn tej ospałości i gnuśności to brak wielkiej idei, któraby rozpalała. rozsadzała. wzruszała masy. Polska ziściła się. idea niepodległości stała się konkretem. pozostali jej epigoni. którzy nową ideę zbudować chcieli na haśle mocarstwowości państwa. Rzeczywistość jednak przyniosła dużo rozczarowań. wytyczona droga okazała się ciężka i długa. Mało patrzyło na tę ideę. myśląc o najprostszych zagadnieniach bytu. Człowiek walczy o chleb. o lepsze jutro. wprawdzie we własnej. ale wskutek długoletniej niewoli. zubożałej i nierozbudowanej ojczyźnie.

Rzeczy znane... ogólniki... wielka praca pierwszych lat. piękne wyniki. potem załamanie gospodarcze. wszechświatowy kryzys. bezrobocie. pauperyzacja wsi i inteligenta. — Najniższa stopa życiowa wśród odpowiadających nam wielkością państw Europy. Stale wysuwana idea mocarstwowości staje się z czasem wytartym frazesem. a **bezideowość powoduje mało emocjonalny stosunek do literatury.** To jedno. pozatem zmiana kursu politycznego. słuszne zastąpienie. zawsze źle przez nas rozumianego liberalizmu przez solidaryzm. Przynosi to jednak skrępowanie jednostki wprawdzie na rzecz dobra powszechnego. ale interpretacja tego „dobra“ jest dość dowolna. Do literatury wkrada się zależność. staje się ona oportunistyczna. mamy już szereg pisarzy i instytucji literackich . . . umundurowanych. Teatry państwowe i ta cała etatyzacja literatury. nie wzbudzają zaufania w ogóle czytających.

Czytelnik nie lubi w autorze serwilizmu i obawy przed konsekwencją wypowiadanych myśli. Pragnie swobodnej. — szczerej wymiany poglądów na platformie swych przemyśleń nad książką. To też. gdy tego nie znajduje trudno się dziwić jego somnolencji i obojętności.

Są jednak dzieła pisarzy niezależnych, oraz wartościowe twory z różnych dziedzin kultury, czemuż i tam niema ciekawych?

Czytelnik nie szuka odpowiedniego pośrednika w postaci rzetelnej krytyki. Nie czyta pism literackich czy naukowych. nie wie co się dzieje na polu kultury. Czasem dojdą go odpadki wiadomości za pośrednictwem prasy codziennej, ale to. z wyjątkiem paru pism, nie miarodajne źródła. Na luksus kupienia pisma literackiego często w dzisiejszych warunkach nie stać nawet inteligenta. a pozatem nieuwzględniana. a prosta przyczyna. Ludzie pochłonięci pracą zawodową dużo ponad normy postulatywne socjalizmu, nie mają czasu, po uwzględnieniu wszystkich czynności, na „stracenie“ godziny. by przeczytać takie pismo.

Wyrobiony indyferentyzm nie pozwala na okradanie się ze snu lub innych wygód. Ten sybarytyzm czy też inne szlachetniejsze powody przyczyniają się do bezplanowej lektury. Czytelnikowi dostają się w ręce rzeczy bezwartościowe, których czyto ze snobizmu literackiego, czy z jakiś innych przyczyn, taka nadprodukcja na rynku krajowym. Czyta chaotycznie i bez pożytku dla siebie. często zrażając się scholastycyzmem psychologicznym i frazeologją wątpliwych talentów literackich. A książka prawdziwie wartościowa nie rozchodzi się często nawet w dwutysięcznym nakładzie. nie mówiąc o naukowych, których wydawcy są świadomi swych filantropijnych wkładów. — Mały nakład wyśrubowuje wysoką cenę. co wpływa na minimalny popyt.

Gdy chodzi o nas młodych to i tutaj nietrudno znaleźć powody niepokojącego zjawiska: Ciążą na nas częściowo metody wychowawcze, przerost sportu i zły przykład nieszanowania wiedzy. Dzisiejsza szkoła coraz większy nacisk kładzie na wychowanie fizyczne. Ceni się posiadanie oznak P. O. S., P. W., różnych strzeleckich, pływackich i t. p. Wprawdzie nauka zawsze jest stawiana wyżej (ponieważ gros pedagogów jest z poprzedniej nie „fizycznej epoki“) od gimnastyki i sportu. jednak młodzi bardziej skłonni do nieróbstwa i rozwoju swych fizycznych niż duchowych właściwości. Sport daje im przyjemność fizyczną łatwiej odczuwalną, a intelektualizm abstrakcyjną i wymaginowaną. Oczywiście znów można przeprowadzić linję poziomą, oddzielającą dwa typy współczesnej młodzieży, nielicznie reprezentowany umysłowy oraz fizyczno-sportowy. W pośrodku pod linją, najbardziej nieskrystalizowana forma, — masa bezpostaciowa istnień ludzkich, — obojętnych na wszystko, żyjąca instynktem i sła-

[1]) „Wiadom. Literackie“ Nr. 610.
[2]) „Tygodnik Ilustrowany“.
[3]) „I. K. C.“ Nr. 324.

bemi przemyśleniami. To grupa najmniej wartościowa, która w życiu udziału nie bierze i jest tylko w nie siłą zahaczeń i związków społecznych wciągana. Te atawistyczne obciążenia nie czynią z niej grupy winnej za brak predyspozycji do życia duchowego, a tylko tworzą, tautologicznie się wyrażając, najbardziej szarą szarzyznę.

Na ustosunkowanie do wiedzy, kultury, a także i literatury silnie wpływa „system“ protekcjonizmu i niefachowości w społeczeństwie. Tam, gdzie powinni znajdować się ludzie fachowi, widzimy kuzynów, przyjaciół i t. p. Potem czyta się w prasie (artykuł K. Zakrzewskiego w „Pionie“) — niemal teoretyczne uzasadnienie, że kompetencja i wiedza często są zbędne dla ludzi na czołowych stanowiskach. Wypadałoby się zatem zgodzić ze Słonimskim, który kiedyś powiedział, że wiedza nawet przeszkadza do osiągnięcia wyższych funkcji w państwie. Jak demoralizujący wpływ mają te stosunki, wykazuje nastrój młodego społeczeństwa. W rozmowie na temat wartości kultury i wiedzy powiedział mi mój interlokutor, że balastem wiadomości przeciążać się nie musi, ponieważ ma „poparcie“, zresztą w pewnych sferach mędrców nie lubią, pozatem na literaturę brak czasu, gdy prowadzi się intensywną „politykę towarzyską“. Bale, bridge, zebrania, praca społeczna? Młodzieniec ów, bardzo gładki, lubiany, posiada rozległe stosunki, tak, iż można mu rokować wielką karjerę...

Nic dziwnego, że tak pokrótce odmalowana atmosfera nie sprzyja rozwojowi zainteresowań do literatury i wiedzy. Książka nie rozchodzi się na wieś, tylko ogranicza do szczupłej sfery inteligencji miejskiej. Powstaje coraz więcej pisarzy, gazet i tygodników, lecz niema odbiorców. Parodja kultury leży w tem, że pisarze z kurtuazji czytają wzajemnie swe utwory, które nie trafiają tam, — gdzie mogłyby wiele zdziałać — do szarego czytelnika.

Życie duchowe ludzi zapewne nie zamrze, a kultura postawiona już na tak wysokim stopniu nie runie, jednak, jak wszystko obecnie, przechodzi ona wyraźny kryzys. Wyjdzie z niego, gdy kulturalna część społeczeństwa świadoma przyczyn, znajdzie antidotum i podejmie śmiałą pracę nad podniesieniem ogółu. Tę walkę ułatwiłaby jakaś powszechna idea.

Czy taka motoryzacyjna idea daleko od nas?

M. Szerer [4]) powiada „idee nie rodzą się „z niczego“, nie są partenogenetycznemi tworami ducha, chadzającego swobodnie, w wyzwoleniu ze wszelkiej ziemskości, po stworzonej przez siebie krainie, **lecz są reakcjami** na rzeczywiste **kształtowanie** się stosunków współżycia i współdziałania w danym ośrodku społecznym“.

Może dla kształtowania idei stosunki obecne są bardziej przychylne?

---

[4]) Mieczysław Szerer: „Idea narodowa w socjologji i polityce“, str. 1.

August Sochor.

Z kraju mgły i flegmy.

Zamiast wstępu:

Zaczęło się od rzeczy tak niewinnej, jak... walizka. Stała sobie bezpretensjonalnie w kącie pewnego mieszkania i gdyby nie barwne plakietki, nigdybym na nią nie zwrócił uwagi. Na tych plakietkach zaś widniały trzy napisy: Glasgow — Edinburgh — London.

Stop! — ani kroku Charakterystyczny trzask zamków i na ziemię wysypała się różnokolorowa rozmaitość. Ulotki, publikacje, czasopisma, kalendarze, wszystko, co mogło zrodzić się w głowie naszych kolegów z angielskich (właściwie szkockich) uniwersytetów.

I natychmiast wyciągnęło nad tym stosem swą długą szyję, w której bulgotał atrament, redaktorskie „wiecznie“ — żarłoczne pióro *).

Poczem — można rozpocząć:

Kto proszę państwa chce wybrać się ze mną do krainy mgły i flegmy (oba wyroby „made in England“), niech zostawi na miejscu dziką namiętność polityczną. Niech choć na chwilę przedzierzgnie się w wytwornego gentelmana lub elegancką lady, bo oto wchodzimy w podwoje „Almae Matris Glasgoviensis“.

Proszę się nie przerazić, skoro nowoprzybyłego freshmana opadnie na miejscu zgraja młodych gentelmanów, agitując go równocześnie do 90 (sic!) polityczno - sportowo - religijno - kulturalno - wojskowo - djalektyczno - językowo - prasowo - zawodowo - polemicznych klubów, z których każdy wydaje publikacje (calendars) miesięczniki, wychodzące co 2 tygodnie, (fortnights - Magasines), ewentualnie wypociny swych własnych członków wybite w jednodniówkach.

---

*) Uprasza się nie uważać autora za zawodowego włamywacza.

Uciekamy pospiesznie do jakiegoś cichego zakamarka, by tam w spokoju przeczytać Uniwersyteckie Vademecum, wydane wyłącznie przez studentów.

Bo widzicie, studenci angielskich uniwersytetów to nie byle co!

Ci panowie i panie, chodzący na codzień w specjalnych akademickich krawatkach z herbem uniwersyteckim, a w święta we wspaniałych szkarłatnych płaszczach i eleganckich czakach(!) mają dużo do gadania. — Nie podoba Ci się zachowanie profesora, sekuje Cię (i tem podobne wypadki z tysiąca i jednych cierpień), zgłoś się w „Students reprezentative Council“ (zatwierdzonem przez osobną uchwałę parlamentu), a ulżą Ci natychmiast w twym ciężkim losie. Chcesz mieć stypendjum, mieszkać, bawić się, jeść, uczyć się etc., o wszystkiem dowiesz się w „S. R. C.“. Charakterystycznem jest, że studentki mają osobną instytucję. No, ale dość!

Może teraz coś o polityce. Wybierzmy się naprzykład na „Union Parlamentary Debate“. Serjo! — Parlament akademicki zorganizowany na wzór angielskiej Izby Gmin, składa się ze wszystkich zapisanych akademików (panie — I-m sorry — w polityce roli nie odgrywają, ponieważ panowie stworzenia — z wyjątkiem klubu liberałów, nie traktują tu swych koleżanek serjo). Partyj jest pięć, poza liberałami, konserwatyści, szkoccy nacjonaliści, t. zw. dystrybutyści no i... socjaliści tworzący obecnie rząd.

Proszę nie sądzić, że zwarjowałem, albowiem rząd stojący przed akademickim parlamentem w Glasgow, nie jest zupełnie zależny od panujących w Albionie stosunków politycznych. W Glasgow rządzą socjaliści, niezależnie od mr. Baldwina z londyńskiej Downing Street.

Mowy są interesujące, ba nawet świetne (wszystko wykarmione na Klubie Djalektyków), opozycja atakuje (sprawa sankcyj antywłoskich), rząd broni swego stanowiska i „last non least“ otrzymuje większość. Ławy opozycyjne szemrają, galerja (złożona przeważnie z t. zw. płci pięknej) oklaskuje gorąco poszczególnych oratorów (każdy po 5 minut).

Te zabawy w parlament nie przeszkadzają politycznym klubom akademickim do „obklinania“ lub bronienia prawdziwego rządu „narodowego“ rezydującego w Londynie. Brr! Co ci ludzie wypisują!

Ale mimo wszystko nikt nikogo nie lży i nie opluwa jadem nienawiści (mimo zapasu angielskiej flegmy. Szkoci zaś są wogóle skąpi w słowach i czynach).

Na koniec może coś o literaturze (to jest przepraszam — prasie).

Owszem, owszem, poziom artykułów zachwycający (za dużo humoru, oczywiście made in England i zupełnie nie na eksport). Nowele aż proszą się o plagjat, a wiersze, wiersze... (słuchajcie!) nie są awangardowe. Pierwszy raz czytałem wiersze nowoczesne, rozumiejąc je.

Szczęśliwa redakcja, pomyśleć można, i oto zanim dojechałem do strony 20-tej, spuchłem z zazdrości na widok tak znakomitego materjału literackiego. Ale... na stronie 20-tej znajdowała się długa i ponura odezwa do czytelników, zaczynającą się od słów: „The Redaction implores...“ (Redakcja błaga...) by jej nie posyłano ckliwych wierszy, bzdurstw, grafomaństw, gdyż... chce naprawdę być odbiciem prawdziwego życia młodzieży. Odetchnąłem... Więc nie my jedyni! (Tu kropka i koniec!)

Józef Lesner.



„Heretyk“ Pracowit — Boratyński



„Daremny trud“. Ziemin Żechowski.

Kolumna plastyki.

Szukalski i Szczep.

Indywidualizm i potężna w swoim wyrazie Sztuka Szukalskiego, jego bezwzględna krytyka zwrócona przeciw istniejącemu w plastyce marazmowi, wrogi stosunek do rozpowszechnionego transponowania przerafinowanej sztuki Zachodu, wywołały przed kilku laty, podczas wystawy Szukalskiego — w Krakowie, popłoch wśród ustosunkowanych twórców, uznanych bazgrot.

„Kulturalny“ Kraków, urażony w swoich ambicjach uznał za stosowne, potępić Szukalskiego. Nie chciano zrozumieć głoszonych przez niego ideałów, dążących do przerodzenia się Sztuki i Kultury polskiej. Mimo nagonki i nieprzychylnego ustosunkowania się dyplomowanych twórców. — zdołał Szukalski swą genjalną Sztuką. porwać za sobą grupę młodych, przejętych jego hasłami ludzi, zrzeszonych następnie w Szczepie Szukalszczyków.

Szczep, to najmłodsza w Polsce grupa plastyków posiadających jednak najbardziej odrębny charakter. Mimo wyjazdu Szukalskiego do St. Zjednoczonych, — spowodowanego niechęcią do ciągłych walk, jakie zmuszony był staczać z różnymi „kulturträgerami“, — Szczep pracy nie zaprzestał, a rezultaty podawane były w formie wykazów prac, we wszystkich większych miastach Polski, wywołując szereg komentarzy i dyskusji.

Reprodukowane obok prace Pracowit - Boratyńskiego i Ziemin - Żechowskiego członków Szczepu, dają pogląd na twórczość Szczepowców i sposób podejścia do tematu.

Obecnie Szukalszczycy przygotowują wystawę swych prac w warszawskiej Zachęcie, która zostanie otwarta w styczniu.

Mamy nadzieję, że Szczep zacznie znowu żywą działalność, tembardziej, że Mistrz Szukalski powraca do Polski, na skutek starań pewnych kół artystycznych i rządowych.

Praca Ziemin-Żechowskiego pod tyt. „Daremny trud“ została nagrodzona w „Salonie jesiennym“ warszawskiej Zachęty.

Gli - kow.



PRACOWIT BORATYŃSKI „ŁOKIETEK WYGNANIEC“
do artykułu na str. 7.

TADEUSZ HOŁUJ.

Z poematu: „Słowa proste“.

(Ja człowiek
idę
obok).
Śmiech srebrnemi kroplami perli się i wzbiera
tnie szklannym zgrzytem — miasta rzeki ulic
przedziera
się przez śmiech, z cichości się kuli —
krok dalej
czerwone wargi się palą
śmiech milknie rozdarty szkarłatną barwą słów.
— „Mów
o snach cichych, płonących jak miedź“.
(„Śnię
o tobie
o paziu“).
żeś jest cały błękitny i pogodny, jak wieczór.
że twe oczy przywarły do dalekich gdzieś przeczuć.
że mi piosenkę napiszesz taką ładną, jak bajka,
że mi będziesz z pieśniami lilijowym snów grajkiem
chcę być z tobą jak białość, święcić twoje zachwyty.
chcę zasłonić twe serce przed czerwonych słów zgrzytem.
uśpię twoje melodje — i nie będziesz już płonąć.
słowa twoje rozkochane — będą tylko ma mową.
Przez czerń barykad, przez krew listopadu
pamięta o Krakowie
(słowa ojcowskie „Janie!“)
tkanie
liści opadu.

Tadeusz Hołuj.

LESZEK ŚWIERZ.

Różnice.

Myślę:
Wybiegnę dzisiaj w ulice
I rzucę pieśń moją świętą
W przestrzeń i w oddalenie
Rytmem życia przekłuję
Szare, smutne wieczory
I w ciepłym tłumie
Samotny się zagubię!
Czuję:
Przejrzystym jestem promieniem
(Melodją w sobie zamkniętą)
I płynę nad miastem ciszą
I lekko się kołyszę...

Leszek Świerz.

MELCHIOR WARSZ.

Nokturn.

Niech milczenie powstanie z nocnych traw
z drzew marzących w dal
z dolin mglistych, gdzie się staw
złoci piersią nieuchwytnych fal.
Niech wstanie milczenie starych kamieni
śpiących pokojem tysiąca lat
w ciszy bezkresnej niech umrze głosu ślad
i niech się rozpłynie głosu wspomnienie.
Księżyca światło niechaj zrosi krzew
srebrną poświatą niebieskich odcieni
niech zginie odległość pośród promieni
i gwiazdy zejdą, by zasnąć w mroku drzew.

Melchior Warsz.

MAURYCY SCHLANGER.

Moje bogactwo.

Mam piękną książkę: „Król i midinetki“.
Winien jestem pięć miesięcy za czynsz.
pozatem noszę dziurawe skarpetki
i wcale nie cierpię na spleen.
W kinie widziałem pałac w Luwrze.

Pozatem mam głupią twarz i hoduję mysz
w eleganckim, pożyczonym kufrze,
gdzie leży kilka „bez wartości“ próbek
mego talentu. No i w majątku mam nóż i ły-
kę. I strasznie bezczelny ołówek.

Maurycy Schlanger.

TADEUSZ HOŁUJ.

Drobiazg.

Miękka szklista taśma rozpływa się w powietrzu;
droga po deszczu szklanna dygoce jeszcze deszczem.
nogi do trawy gną się, jak do zagrody owca.
Szaro jest i obco.
Kilometr kąpie się w błocie i tula jak małe dziecko
z dwurzędu sosen wytryska rozchmurz błękitno-
[niebieska.
woda — i błoto; woda oczy oblepia widokiem
(zobaczysz ty mnie z okna?).

Tadeusz Hołuj.

KOLUMNA „WEKTORÓW“.

LEO LIPSCHÜTZ.

Noga.

(Fragment z dłuższego utworu, usunięty ze względów kompozycyjnych.)

Włosy miała wplątane w trawę. Mówiła cicho z zamkniętemi oczami:

— Jeszcze... jeszcze...

To była straszna rozkosz teraźniejszości, która dławiła i falowała łzawo, księżycowo w gardle. (Jak melodja, która nie wyszła jeszcze z ust).

Prosiła bez sensu:

— Jeszcze... jeszcze...

Spod przymkniętych powiek zobaczyła oczy Jena całkiem blisko. Wyglądały jak otwory jaskini. Zdawało jej się, że są wejściem, zdawało jej się, że weszła, że idzie. Zaśmiała się głupio. Nagle śmiech zmienił się w krtani w szumiący płacz i smutno wyleciał w szczęśliwość. Płakała. Jen powiedział:

— Płaczesz? Masz się cieszyć... Słyszysz? Ciesz się!

W tej chwili Jen odczuł jakąś białą, błyskawicowo-słoneczną rozkosz, w którą trzeba rzucić się głową naprzód, utonąć, zginąć. Zdusić się w własnej szczęśliwości. Wołał:

— Ciesz się! Słyszysz? To jest strach przed radością, całkowitą...

Ri otworzyła szeroko czarne, zdziwione oczy. Przestała płakać, ale szkliste łzy były pomieszane z niebem.

— Odsuń się, odsuń się...

Wstała. Poszła parę kroków i stanęła twarzą do słońca. Słońce było czerwone. Jen stał i patrzał na Ri.

Cisza. Niepewna, przedbłyskawicowa.

— Gniewasz się?

Ri doszła do Jena i pocałowała go rozpaczliwie w usta. Zdawało jej się, że rzuca się w płonącą przestrzeń. Wszystko zaczęło się palić. Myśli wplątane w czerwone, szepczące oddechy. Każda myśl napęczniała falującą krwią. „Cieszysz się? Cieszysz się?“ Gwizdał wiatr i ocierał się o drzewa. Potem lekkiem drgnieniem skoczył w próżnię.

Zwęglone słońce spadło za las. „Ha! Ha! Cieszysz się?“

Trzeba sięześrodkować w rozkoszy, oddzielić od świata, zamknąć w dławiącej oponie — całkiem... całkiem...

Spaliły się promienie... Słońce urwało się, spadło. Jen widział zbliska zdziwione oczy Ri. Leżeli na trawie. Ri miała włosy wplątane w źdźbła.

— Pokaż mi nogę — to powiedział Jen.

Przejechał po skórze i czuł drgające lekko mięśnie. Noga odcinała się od nieba, bo leżeli poziomo pod drzewem. Białe kolano, białe kolano. Ri czuła jakiś głupi pradziewczynkowaty żal. Bała się, że będzie płakać. Spojrzała na swoją nogę: Odcinała się na tle nieba, bo leżeli na trawie. Przypomniała sobie to, co było dawno, wtedy, gdy odkryła własną cielesność.

— Ooo...

Głos jak promień różowego światła błyszczał na tle nieba. Powtórzyła:

— Ooo...

Niebo budziło się cicho, falowało jak morze, tylko że niewidocznie samo w sobie... Budziło się. Dwie dziewczyny i chłopiec widzieli, jak zdaleka ziemie płonęły we fioletach, jak blaski niemożliwie białe buchały z przestworza i skrzydlate światy płynęły po niebie.

Wtem stała się rzecz dziwna. Wszystko działo się dalej, wspaniale i potężnie, a jednak zamarło. Nie można było tego określić. Wyobrażenia Lo stężały w miejscu jak lód, a światy biły dalej czarnemi skrzydłami mimo, że znieruchomiały. Panienka jakaś krzyknęła:

— Panie Lo, czas stanął. Czas stanął. Naprawdę. Patrz pan.

Z za blasków wypłynęło czarne słońce, jak dziura w fioletowem niebie, a jednak plastyczne, trójwymiarowe jak kula i ziało czarnością w dusze.

— To wygląda jak pusty oczodół — powiedział ktoś.

Od teraz zaczęła się straszna rzecz. Czarne słońce, brzuchate i ciężarne zaczęło rodzić. Wzdymało się, rosło, pęczniało jak balon i ziało czarnością. Ciągle zdawało się, że nie może stać się już większe, a ono rosło i rosło. To było dziwne, że wciąż zostawało jeszcze wiele miejsca na niebie. Było opuchnięte, a białe błyski tańczyły koło niego jak szalone. Wtem, gdy już wszyscy prosili, żeby już był temu raz koniec (bo mózgi trzeszczały i pękały) prysło z ulgą, siknęło zielonością, zgniłą, ale błyszczącą, jak flak spadło w otchłań i urodziło potwora.

Embrjonalny potwór, doskonale okrągły, koloru kulistego piorunu toczył się po niebie. Lo krzyknął:

— To jest właśnie śmierć, proszę pani. No, muszę już iść. Bardzo mi smutno.

Leo Lipschütz.

—oOo—

Śmierć.

Długa ulica leżała w ciemności. Cienie postaci płasko kładły się na ziemi, idealnie płasko i wyglądały jak duże dziury. Lo szedł ulicą i widział dwie kobiety, do których te cienie należały. Doszedł do nich i spytał spokojnie:

— Czy panie są prostytutkami?

Dwie dziewczyny stały naprzeciwko Lo: Jedna miała oczy koloru księżyca wśród mgły, druga liści na wiosnę. Dziewczyna o oczach koloru księżyca, dużych i dalekich, powiedziała:

— Nie, ale możemy z panem spacerować.

— Cieszę się bardzo... (Lo wziął je pod rękę i szedł z niemi przez ciemne ulice). Jestem sam i boję się bardzo, dlatego zaczepiłem panie na ulicy. Widziałem śmierć w postaci dużej, świecącej kuli. Wydawała mi się tak piękną, że chciałem ją objąć, ale przekonałem się, że jest większa niż świat. Błyszczała tak zielono, jak neon: wydawała cichy plusk jak jezioro: wpływała we mnie, a ja wtedy uciekłem z pokoju i spotkałem panie. Naprawdę, bardzo się cieszę...

Dziewczyny milczały. Cisza stopiła ulice, a myśli wysokie jak sny wzbijały się w górę. Szum gładził uszy, jak odgłos dalekiego lasu.

Wtem dziewczyna o oczach koloru liści zawołała cicho:

KOLUMNA

ERWIN AXER.

Gniew.

Kroki przez miasto,
Pod sine domy,
Kamiennem wnętrzem,
Wąwozów stromych.

Krają je szyny
Błyszczącą brzytwą
Zeszywa tramwaj,
Rudy i brzydki.

— Po głowie chodzą
Zielone cienie,
Jak przed zaśnięciem
Złote pierścienie. —

Bruk wciąż brudniejszy
Kołysze kroki,
I mniejsze domy
Wiodą się bokiem.

Miejskie madonny
Wyszły na targi,
Zakryły kredką,
Błękitne wargi.

Gromadka ludzi...
Ktoś woła, wzywa
I białe łaty
W ciemności wszywa.

Płaty papieru,
Pokryte mową,
Płomiennem pismem
Piszą się słowa.

„Za nędzę, ucisk,
Wszystko, co boli,
Za śmierć i krzywdę,
Powstańcie prole...“

Spieszne oddechy,
(Widocznie bity),
Ktoś się nieludzkim
Zaniósł skowytem.

Nerw się nawija
Na krzyku szpulę.
W kieszeniach pięści
Pęcznieją w kule.

Gniew pazurami
Wnętrzności orze,
Piersi wypełnia
Czerwone morze.

Zła, wyostrzona,
Rozpocznij atak,
Leć, klingo wiersza
W piersi wszechświata!

Erwin Axer.

IZABELLA PAWLUCIÓWNA

Uliczki.

Księżyc, co pluskał w toń nieba spienioną chmur
[perlistość,
jak życie w chwile odjazdów rozkruszył się w piasek
[gwiazd
i rankiem się rozsypał ulewą suchozłocistą
w uliczki mych zbyt małych i zbyt codziennych miast.
— A jednak...
Trącilam z chodnika obcasem krótkie i sypkie chrzęsty
Nic nie przyrzekłam szarym, jak czyjeś oczy dniom —
Odeszłam, aby odnaleźć za pragnień rozrzutnych gęstwą
ulice brukowane mirjadą jarzących się słońc.
— A teraz
Nic nie pamiętam, wiem cicho, że słońca ogromnie
[więdną,
że można na zawsze zabłądzić w uliczkach mych małych
[miast...
Tylko... kto wraca stamtąd niech powie mi to jedno —
czy wiatr przeciągłem czekaniem
nie zwiał z uliczek tych gwiazd?...

Izabella Pawluciówna.

„W E K T O R Ó W“.

JERZY KAMIL WEINTRAUB.

Sielanka w Zakopanem.

Dobry wieczór, pani Kaczorowska.
Przypłynął już dobry wieczór.
Zasnęły poczciwe zwierzęta wtopione w puszystość [mroku.
Szkarlatny grzebień koguta zastygł w bezruchu, jak [wieczność.
Srebrzysta puszystość kota mięciutka teraz jak spokój.
Zły pies imieniem Almanzor skłębił kudłatość w półkole
I tylko białe owieczki płaczą cichotko po polach.

Gwiazdami drga błyszczącemi spokojny nieba granat.
Jest bardzo miło. Nie spada niczyja smutna gwiazda.
Więc pani Kaczorowska śpiewa zamglonym sopranem,
a z okien panny Cecylji rozbrzmiewa Jan Sebastjan.
I jak tu, Boże, pogodzić dwie rzeczy brzmiące tak [cudnie:
śpiew pani Kaczorowskiej i Sebastjana preludja?

U panny Eli i Anki jest cicho i jest pluszowo.
Przez okno można zobaczyć zastygłe oblicza z granitu
światłami gwiazd osypane.
I długo będzie bezsłowie,
dopóki panna Haneczka nie przyjdzie wierszy [przeczytać.
A później będą się dziwić, że dziwna nasza Haneczka,
że taka wielka poetka, a jeszcze takie dziecko...

Noc zakopiańska się wsłucha w dzwoniący północ zegar,
na ludzi w noc idących księżyc popatrzy ciekawie,
gwiazdy zadrgają srebrniutko i zakołyszą się drzewa,
powiedzą wszystkim dobranoc, na drogę pobłogosławią:

Dobranoc, pani Kaczorowska:
(... śpiewałaś dzisiaj tak cudnie...)
Dobranoc, Janie Sebastjanie Bachu:
(... piękne są twoje preludja...)
(listopad 1935).

Jerzy Kamil Weintraub.

JERZY KAMIL WEINTRAUB.

Samotność wśród rekwizytów.

W szumie telegraficznych drutów nie było może [tęsknoty.
Osiem dni było wszystkiem. Ósmy dzień pożegnaniem.
Ósmego dnia tak jak codzień wpatrzenie w szum [lokomotyw.

O zmierzchu dnia
ty
i
najdziwniejsza z przygód
odpłynęły, zginęły rozszumianemi szynami.

Ósmego dnia odjechałaś, Jadwigo:

Jestem już sam. Pokój w wymiarze
3 × 8.
W obrazach: kwadratowość twarzy
W oknach: pionowość sosen.

Niema mnie.
Kalejdoskop wizyj
zbezbarwniał, znikł w pionowych sosnach.
Sterczę:
zastygły rekwizyt
wrosły w pokoju graniastosłup.

Nie jestem sobą. I w oddali
widzę:

wplątany w rzeczy bezsens
rekwizyt
wpływam w niemy djalog:

ja
i
12 krzeseł.

Jerzy Kamil Weintraub.

(listopad 1935).

ALEKSANDER MESSING.

Jezioro.

zielone oczy motorówek
przecięły granat:

rozwarło się nocą jezioro
jak nienapisany dramat

przez białe palce dziewczyny
przelewa się woda nocy
i płynie
ultramaryną
w oczy.

Aleksander Messing.

Drugie dzieciństwo.

(Jerzy Pietrkiewicz. Wiersze o dzieciństwie. Dom Książki Polskiej, 1935).

Wiersze Pietrkiewicza są retrospektywnemi tylko pozornie. W gruncie rzeczy jest to transpozycja fragmentów dawnych doznań, obrazów i asocjacyj w chwilę teraźniejszą. Jest to stworzenie po części nowego dzieciństwa, bo tamto, prawdziwe jest już niedostrzegalne prawie przez kilkunastoletnią perspektywę czasu. Mamy tutaj odtworzenie i wyobrażenia. To wszystko, co dał nam w swoim zbiorniku Pietrkiewicz jest syntezą czysto zewnętrznych doznań o dużym wprawdzie zasięgu, ale o małej głębokości. Jest to pewnego rodzaju oportunizm. Pietrkiewicz wolał nie patrzeć **wgłąb**, w siebie i wydobyć z dzieciństwa rzeczy bardziej istotne i ciekawe, ale spojrzał **wszerz**, co dało w wyniku doskonale jednolitą w charakterze ogólnym całość, ale mającą charakter albo przeżywania samej kultury wiersza albo zewnętrznych raczej doznań estetycznych. Mimo to widać wyraźnie ostro zarysowującą się indywidualność autora. Na Pietrkiewiczu nie ciążą żadne wpływy. Jest sobą. To główna zaleta książki. Bo jeśli nawet powiemy, że wiersze te są fakturalnie słabe, że szalona łatwość pisania powoduje sztuczność i naciąganie metaforyki, chropawość, a nawet prymitywizm wersyfikacyjny, to fakt istotnej oryginalności autora może zniwelować powyższe zarzuty, jeżeli chodzi o horoskopy na przyszłość.

J. k. w.

Zmierzch skamandryckich katarynek.

(Paweł Hertz: Nocna muzyka. Instytut wydawniczy „Sfinks“. 1934).

Tego wszystkiego nie można powiedzieć o Hertzu. Mimo swoich 17-tu lat bynajmniej nie jest Rimbaudem. Reprezentuje on (oczywiście Hertz a nie Rimbaud) kiepski gatunek skamandryckiego epigonizmu, a ściślej mówiąc — iwaszkiewiczowskiego klasycyzmu. A najsmutniejszem jest to, że Hertz w odróżnieniu od innych epigonizmów, **od siebie** nic nie wnosi. Wszystkie wiersze są mniej lub więcej udolną transpozycją rzeczy przeczytanych, świadczącą nawet o ich niedokładnem zrozumieniu. Używanie greckich imion (Eudymion!), opisywanie antycznych posągów — to jeszcze nie jest, jakto się zdaje autorowi „Nocnej Muzyki“, klasycyzm. Poprawna (aż do niemożliwości) wersyfikacja, nieskazitelna regularność strofy i katarynkowaty rytm — to jeszcze nie jest poezja. Wiersze Hertza nie wynikają z istotnych przeżyć, ale odwrotnie: przeżycia (estetyczne, czysto zewnętrzne zresztą) wynikają z jego elaboratów. To wszystko daje w sumie niebezpośredniość, nieszczerość.

P. Bolesław Miciński napisał w „Prosto z Mostu“ o Hertzu, że „Nocna muzyka“ jest złośliwą grafomanją. Nie zgodziłbym się na epitet „złośliwa“. Myślę, że jest to poprostu młodzieńcza (mówiąc delikatnie) fanfaronada, a jakże bardzo charakterystyczna: zwiastująca bowiem bliski zmierzch skamandryckich katarynek.

J. k. w.

Wawrzyny akademickie.

Sprawa nadania wawrzynów akademickich przez Polską Akademję Literatury, wzbudziła żywy oddźwięk w prasie. I. K. C. pisze:

„Nie można powiedzieć, by pierwsze posiedzenia P. A. L. rozentuzjazmowały społeczeństwo. Ale nie wywoływały też większych zastrzeżeń. Parę dni temu Akademja Literatury przedstawiła się jednak społeczeństwu... nieco bliżej wchodząc z niem w kontakt na szerszym froncie: froncie odznaczeń. Wawrzyny akademickie spłynęły na piersi 220 mężów i niewiast Rzeczpospolitej. To już nie liście wawrzynu, to cały gaj, tak, że należało mieć właściwie pozwolenie na wyrąb od dyrekcji lasów państwowych... I tu właśnie zaczyna się krzywda i skandal. Dotąd można było mówić: pal licho — teraz trzeba będzie powiedzieć: licho PAL!“

Na innem miejscu I. K. C. cytując prasę warszawską pisze:

„Gdy sąd udzielił mu (adw. Hofmokl-Ostrowskiemu) głosu, obrońca oświadczył: Zarówno ja, jak i mój szanowny przeciwnik, nie należymy do tych członków palestry, którzy uzyskali odznaczenia złotym Wawrzynem za krasomówstwo, wobec tego wybaczy Wysoki Sąd, że będziemy przemawiali w prostych słowach i zgóry prosimy o wyrozumiałość“.

Dowcipnie załatwił sprawę prof. Stroński na łamach „Kurjera Warszawskiego“ w artykule p. t. „Bobki“. Po ironicznych uwagach o stosunku członków Akademji do obecnie odznaczonych wawrzynem, a dawniej, przy tworzeniu tej instytucji, pominiętych literatach, pisze:

„Jen. Sosnkowski, szermierz przedni, bronią dobrej próby, nie wyłączając pióra i słowa, musiał jednak chyba kiedyś, za czasów wojaczki p. Kaden-Bandrowskiego powiedzieć mu coś bardzo do słuchu, skoro jeszcze po piętnastu latach dostał się właśnie między krasomówców. Osobno wydzielono krasomówstwo sądowe. Obecność złotoustego p. Ettingera i srebrnoustego p. Woźniakowskiego czyżby świadczyć miała o żywszym oddźwięku sprawy Gorgonowej, niż innych głośnych rozpraw... Że za kult słowa polskiego w zawodzie adwokackim odznaczono kilku cichych tego słowa wielbicieli, którzy uczcili je minutą milczenia w lata przedłużoną, to nic dziwnego, bo są oni wszyscy z Karpia (Koło Adwokatów R. P.), a ryby z... głosu nie słyną... Bywalcy teatralni przyklasną ochoczo odznaczeniu suflera p. Nieszporka i suflerki p. Janikowskiej. Zapytają może jednak zarazem, dlaczego np. w rozpędzie i im nie za krasomówstwo dostał się wawrzyn? Bodajże, pewnem niedociągnięciem towarzyskiem jest to, że p. Zegadłowicz, piewca Srebrem pisanego, jest złotem odznaczony, a nie srebrem odznaczony, ile że tem, czem jego ostatnia książka naprawdę zda się pisana, można się, jak to dawniej mawiano, uszlachetnić, ale nie wypada za to nikogo odznaczyć...“

Artykuł p. Piaseckiego w „Prosto z mostu“ zawiera więcej gorzkich uwag:

„Jest w tym temacie coś, co podnieca nietylko zmysł złośliwości, ale skłania do uwag ogólniejszej natury. Wybraniem takich, a nie innych nazwisk, piętnastka akademików wystawiła świadectwo swojej orjentacji w sprawach współczesnej kultury polskiej... Jak nakazuje podstawowy kanon urzędowy, lista zawiera niezbędne elementy, imię i nazwisko odznaczonego oraz jego stanowisko służbowe. Z większością odznaczonych nie było pod tym względem kłopotu. W rubrykę Nr 2 wpisywało się: „nacz. wydz. Min. W. R. i O. P.“, „Min. wiz. szkół“, „Urz. Kur. O. S.“, „Kier. szkoły powsz.“ i t. d. Niestety nie wszyscy odznaczeni mieli tak wyraźnie określoną pozycję w hierarchji służbowej. Lukę tę trzeba było koniecznie wypełnić jakiemiś określeniami. Człowiek z samem imieniem i nazwiskiem to przecież coś niemal nieprzyzwoitego. — A jak na złość, ta nieprzyzwoitość zagroziła poważnie samemu początkowi listy, oddziałowi odznaczonych „za wybitną twórczość literacką“. Dopisano więc sumiennie przy każdem nazwisku: „Xowi Ypsylonowi, literatowi“. Objaśnienie to, posiadające może pewną wartość informacyjną przy takich aktualnie mniej znanych szerszemu ogółowi nazwiskach, jak Józef Ruffer, Ostap Ortwin, czy Alfred Konar — nabiera jednak może dość groteskowej barwy przy nazwiskach Świętochowskiego, Struga, czy Iłłakowiczówny... Można długo myśleć i nie zgadnąć, dlaczego wysoki aeropag akademicki uważa twórczość literacką Alfreda Konara za wybitniejszą od dorobku pisarskiego pominiętych: Zygmunta Nowakowskiego, Stanisława Wasylewskiego, Jana Parandowskiego, Juljana Wołoszynowskiego, Zofji Kossak-Szczuckiej i wielu innych. Są to zapewne subtelne kwestje akademickiego rozeznania estetycznego“.

Dalej wylicza autor pominiętych historyków i krytyków literatury, stwierdzając przy sposobności, że Akademja nie może liczyć na ofiarność społeczeństwa, bo nie potrafi zdobyć sobie jego zaufania. Dalej idą publicyści, historycy,

„najbardziej jednak mroczny i tajemniczy jest dział następny. Odznaczenia za „wybitne zasługi dla dobra literatury polskiej“. Potem organizatorzy, plastycy, muzycy, krasomówcy“.

„Wawrzynami dla ludzi teatru sypnięto hojnie i demokratycznie. Tak demokratycznie, że nie przepomniano suflerów, z wyraźną krzywdą nieodznaczonych w dziale literatury, a równie pożytecznych korektorów... Otóż zasługi dla sceny polskiej suflera Nieszporka i suflerki Janikowskiej są być może bardzo wielkie, ale jednak ten i ów gotów pomyśleć, że zupełnie pominiętego w odznaczeniach Juljusza Osterwy większe... Po wydawcach, krzewicielach czytelnictwa i dziennikarzach zakończenie. „Akademja dała się poprostu przekształcić w urząd rozdawnictwa orderków. Nic więc dziwnego, że i komunikat Akademji o wawrzynach zredagowany jest w najczystszym stylu urzędowym: „Odznaka Wawrzyn Akademicki przedstawia się (...państwo pozwolą, Wawrzyn jestem...), jako sześcioramienny krzyż (...osobliwy krzyż z sześciu ramionami, (oparty) ...!... na tych sa-

nych motywach, co gwiazda P. A. L.: „Wawrzyn akademicki przedstawia się... Oj, przedstawił się!“

W kronikach tygodniowych Słonimskiego, w Wiadomościach Literackich czytamy:

„Przedewszystkiem można się było dowiedzieć nowych i ciekawych rzeczy. Kto z nas naprzykład wiedział, że Zofja Urbanowska, autorka najpopularniejszych powieści dla młodzieży, jest „właścicielką realności“. Gdyby nie Akademja nigdybym się nie dowiedział i tak by już życie przeszło. Dowiedziałem się, że jest dwu Ignacych Paderewskich. Jest jakiś drugi podobno znakomity mówca. Wielu ludzi się skarży, że wawrzyny rozdawano niesprawiedliwie. Powiedziałbym raczej niedokładnie. Jest pisarz Kleszczyński i pisarka Krzywicka, a dostała pani Kleszczyńska i pan Krzywicki. Może za to, że ktoś był żoną Kleszczyńskiego, albo jest mężem Krzywickiej, należy się jakaś rekompensata, ale czy Akademja jest od takich spraw? Mówią — że przy odznaczaniu wawrzynem dochodziło do dramatycznych momentów. Każdy z akademików przedstawiał swego kandydata i zaczynały się targi. Czasem ustalano nadanie wawrzynu krakowskim targiem, to znaczy, że depeszowano do Krakowa do Rostworowskiego, żeby się spontanicznie sprzeciwił. Najdramatyczniejsze sceny rozegrały się przy próbach odznaczenia złotym wawrzynem naczelnika wydziału Władysława Zawistowskiego. Sekretarz T. K. K. T. i krytyk teatralny Władysław Zawistowski bardzo się podobno opierał, ale wkońcu przekonał go naczelnik wydziału Władysław Zawistowski, który się uparł, żeby go odznaczyć“.

Zestawił Jot.

Filharmonja krakowska.

Na ostatnim koncercie Filharmonji Krakowskiej usłyszeliśmy trzy rzeczy: wyjątek z „Cara Sołtana“ Rimskij-Korsakowa, koncert fortepianowy Rachmaninowa c-moll i symfonję Czajkowskiego. Program był więc bardzo efektowny, a Rimskij-Korsakow wprost efekciarski. (Ludzie od perkusji byli bardzo dobrze usposobieni; najgorsze były dzwoneczki). Można było wyszukać bardziej przyzwoite rzeczy. Dyrygentem był p. Bierdiajew, który jest u nas bardzo lubiany przez dynamikę i sugestywność interpretacji oraz (to jest ważne) — ruchów. Poprostu Artur Rubinstein przetransportowany na dyrygenta. P. Bierdiajew panuje świetnie nad orkiestrą i wywleka z niej maksimum możliwości.

Z wybitniejszych niedociągnięć przypominam sobie tylko pewne nierówności przy pierwszym utworze. Czajkowski poszedł składnie, bo orkiestra grała go nie pierwszy raz.

P. Martusiewicz zagrała koncert Rachmaninowa, który jest bardzo efektowny i z którego dało się więcej wydobyć. Słyszeliśmy już dwóch profesorów konserwatorjum, jako solistów; chciałem się spytać, nauczony i zeszłorocznem doświadczeniem, czy tylko profesorowie z Krakowa grają na skrzypcach lub fortepianie i kto jest właściwie winien...?

L. L.

Annie Fischer.

Młoda, sympatyczna p. Fischer posiada wszystkie zadatki na doskonałą pianistkę. Piszę „zadatki“, bo szwankuje u niej zwłaszcza strona techniczna, która nie może nadążyć za pomysłami o szerokim rozmachu.

Usłyszeliśmy w wykonaniu p. Fischer Bacha Toccatę, Adagio i Fugę c-dur, Liszta sonatę h-moll, Warjacje Symfoniczne Schumanna i marsz Mendelssohna w traskrypcji Liszta.

U Bacha raziło grzęźnięcie w zbyt obfitym pedale, niedokładność palcowa, która jest przy tym kompozytorze szczególnie rażąca. Najsumienniej i najbardziej trafnie był opracowany Liszt, najgorzej Schumann. Ładnie zagrany był marsz Mendelssohna.

Po tych zarzutach chciałem zaznaczyć, że artystka miała imponujące momenty. Poprzez niedomagania techniczne bije młodość i niezwykła świeżość odczucia. Te cechy narzucają się wprost z niezwykłą sugestywnością. Dlatego też można darować pewne niestyliczności u Bacha wzamian za przyciągającą szczerość i głęboką chęć wniknięcia w zamiary kompozytora (zwłaszcza przy Adagio). Przy Liszcie słyszałem parę ciekawych kombinacyj pedałowych.

Chciałem zaznaczyć, że uwagi powyższe mogą ulec pewnym przesunięciom. Mam wrażenie, że p. Fischer była w dzień koncertu niedysponowana. Motywuję to tem, że miejsca trudne technicznie były niejednolicie i nieproporcjonalnie oddane; to łączyło się z naglemi załamaniami. Również przy etiudzie Liszta wykonanej jako naddatek miejsca stosunkowo łatwe technicznie nie wychodziły i artystka robiła wrażenie kompletnie wyczerpanej.

W każdym razie mamy do czynienia z niezwykłym talentem o wielkich możliwościach rozwojowych.

L. L.

Przegląd przeglądów.

W „Życia“ krakowskiego numerze pierwszym (24 września 1897) pisze feljetonista (Obojętny): „Co jemu (naszemu społeczeństwu) po różach, u kaduka. Róża jest wytworem chorobliwym, otrzymuje się przez sztuczne okaleczenie liścia. Wogóle wszystko, co szlachetne nawet w przyrodzie, to zdegenerowane — a u nas przecież przeważają „moralnie zdrowe“ jednostki“. A Potocki w „Jubileuszu pokolenia“: „Czegośmy nie zaimprowizowali, lub nie obudzili w tych latach **gorzkiej normalności!**“ Zaraz tłómaczenie d'Annuzia „O pięciu pannach mądrych, a pięciu głupich“ z przeciwstawieniem ponurej i płaskiej przezorności wesołej i pełnej wdzięku lekkomyślności. W numerze drugim znów tłómaczenie „Markizy d'Yémény“ (Epilog), gdzie talent Hugona jest: „zanadto jego własny i tem samem **wielki, obcy tłumom**“. Bohater „cierpiał, bo czuł, że dusza jego rozpraszała się w przestrzenie jak liście kwiatu, który więdnie — że **każdy** może brać jakiś listek w palce i zgnieść go dla obserwacji, potem wąchać i mówić: to piękny listek, albo: to nie tak bardzo piękny listek“. W tymże numerze Antoni Chołoniewski w recenzji ze „Zwyciężonego“ (Rabskiego): „Publiczność lwowska przyjęła sztukę chłodno“, jak brzmią biuletyny recenzyjne. Naturalnie, toby było najmniejsze nieszczęście, bo „cieple“ przyjęcie ze strony tej masy, która bierze w swój gruby organizm tylko wrażenia bardzo prymitywne, jest wątpliwej wartości zaszczytem“. A w Echach pisze z oburzeniem jakiś korespondent na marginesie pogrzebu Asnyka: „Poezja nie była dla niego tylko ukochaną sztuką, lecz jednem narzędziem, z którego najczęściej korzystał w pracy narodowej“ — rzekł, tłumiąc łzy, przygotowane na żałobną uroczystość w Pawłowie, znakomity dygnitarz - estetyk. Kółka rolnicze, sklepiki chrześcijańskie, drenowanie gruntów i — „Skargi Jeremiego“! Przepyszna całość!“

To wszystko zacytowaliśmy naturalnie nie dlatego, by się wyręczyć w formułowaniu swoich poglądów na istotę i zadania sztuki, bo u większości z nas są one inne, lecz by przedstawić, jaka atmosfera panowała już przy powstaniu „Życia“ i jakiemi ideami było przesiąknięte nowo powstające pismo.

W I-szym i II-gim numerze Cyprjan Godebski tak określa zadania krytyki:

„Komuż między nami, gdy słyszy najzwyklejszą jakąś piosenkę, jakąś melodję nieraz lichą, ale przypominającą istotę ukochaną, miejscowość drogą, a daleką — nie zabiło silniej serce, łzami nie zaszły oczy? Czy to ta piosenka, lub melodja, innemi słowy: czy owe dzieło sztuki wywołało te skutki? Bynajmniej, lecz nasze wspomnienia połączone z niem. Podobneż wrażenia odnosi się nieraz na widok obrazów. Wobec obrazu kobiety przed pustą kołyską dziecięcia, wobec epizodu historycznego w harmonji z naszemi wyobrażeniami — bierzemy nieraz myśl za dzieło malarza. W tem tkwi niebezpieczeństwo — i pod tym względem krytyk winien głównie wyświetlać sprawę“. A tak istotę sztuki:

„Gdy bóg (przez małe „b“ w oryginale) stworzył świat, osądził go niedostatecznym, nie raczył jednak wziąć się nanowo do dzieła. W serce człowieka tchnął wszakże popęd doskonalenia się; przed glinianemi jego stopami wzniósł złotą drabinę nieskończoności, poruczył natchnionym dokończyć snu swego, snu w świecie piękniejszym — i stąd to sztuka kontynuuje dzieło polskie. Sztuka, mając początek boski, jest religją, religją o tyle wyższą od wszystkich innych, iż na miejsce ciasnych dogmatów, wymagających ślepej wiary, każdy adept istotnie godny nazwy artysty przynosi ze sobą swe własne dogmaty, swą własną wiarę i swe aspiracje“. A potem: „Malarz historyczny jest raczej kronikarzem, niż malarzem; nie uważa on przedmiotu jako tylko środka i pretekstu do okazania kunsztu malarskiego; lecz posługuje się malowidłem jako środkiem do wyrażenia swego przedmiotu“. (Redakcja „Życia“ dała przy obu artykułach notatkę, że nie ze wszystkimi poglądami autora się zgadza).

Napewno interesuje kwestja, co w tym czasie porabiała późniejsza młodopolska trójca. Owszem, i to znaleźć można w Życiu.

Najwyraźniej występuje Wyspiański. Naturalnie tylko jako malarz. W pierwszym numerze jego rysunek: „Fontanna“ i „Płomień“. A propos tych rysunków pisze ls.: „Jeżeli przez symbolizowanie przyrody rozumiemy wydobywanie jej ukrytej treści, odsłonięcie duszy — w takim razie Stanisław Wyspiański, którego dwa rysunki dzisiaj przynosimy, jest niewątpliwie symbolistą. Artysta ten, obdarzony niezwykle bogatą, iście żywiołową wyobraźnią, spogląda na świat okiem marzyciela - mistyka, który w każdem drgnieniu, w każdym przejawie natury dostrzega dziwne, niewidziane moce. Sam sobie tworzy własny świat, królestwo pełne czarów i cudów, w którem przebywa najchętniej. W tej malarskiej krainie marzenia roia się dziwne postacie o ludzkich kształtach, a nieziemskim bycie... Na cokolwiek padną jego spojrzenia, wszystko przybiera kształt ludzki; wszystko, cała przyroda, żyje“. A w następnym numerze znajduje się wiersz Pieńkowskiego do szkicu St. Wyspiańskiego:

FONTANNA

Z mrocznych źródlisk w wilgotne po-
[rosłych wietrznice
Z wiklin, z gąszczów, z przepaści —
[zwichrzona, skrzydlata
Wydziera się fontanna i w niebo ulata,
Spada z płaczem... i znów się pnie
[wyżej — w mgławice...

W jej włosach rozpuszczonych, w jej rąk
[załamaniu
W jej rozpacznych i wilczo wydłużonych
[szczękach,
W jej półśnie i widziadłach, i wzlotach,
[i jękach,
W jej wiecznem, rozmodlonem, konają-
[cem łkaniu —

Jest rozpacz beznadziejna, bezwyjściowa,
[dzika,
Jest szaleństwo znużenia i głód samej
[siebie —
Niepoznanej, a żywej — rozkochanej
[w niebie,
Którą otchłań wypiętrza i otchłań połyka
Bezpowrotnie... i znowu w nowych
[kształtach tryska,
I drga wiecznie i kona i gaśnie i błyska.

Kto sobie przypomina „Fontannę“, tego musi uderzyć trafność tego wiersza. W numerze drugim znajduje się także „Skała Niobidów“. Wyspiański wypowiada się jeszcze w II-gim numerze na temat pomnika Mickiewicza, ale o tem na innem miejscu.

Śmiesznie dla nas, którzy znamy dalsze losy Życia brzmi wzmianka w „Przeglądzie przeglądów“ (rubryka odpowiadająca obecnemu Przeglądowi prasy): „Wiener Rundschau“, wytworny dwutygodnik wiedeński zamieszcza artykuł pióra Neumanna Alfreda o Stanisławie Przybyszewskim, głośnym autorze „Zur Psychologie des Indywiduums“ i szeregu psychologicznych powieści. Artykuł w entuzjastycznym tonie podziwu utrzymany, ciekawy jest niezmiernie ze względu na cytowane listy Przybyszewskiego. Przyb., który niejednokrotnie już publicznie zaznaczał w pismach niemieckich, iż pisze po niemiecku z konieczności, zwraca w listach do Neumanna uwagę na to, jak bardzo słowiańską jest jego mistyka, jego sposób myślenia i, tak podziwiany w Niemczech, styl jego. „Weź pan „Irydjona“, lub „Nieboską Komedję“, weź pan pisma Słowackiego — a potem czytaj książki Nietsche'go, który jest Polakiem z pochodzenia i ma słowiańskie rysy twarzy i czytaj moje utwory. Przekona się pan o podobieństwie. Mowa polska o wiele jest poetyczniejszą, barwniejszą, wytworniejsza od niemieckiej. Ja spolonizowałem język niemiecki, nadałem mu śpiewność, giętkość, płynność“. Zapowiada też Przybyszewski, który dotychczas pisał w przeglądach niemieckich, francuskich i czeskich, iż rozpocznie obecnie pisać po polsku“.

Najmniej o Żeromskim. W 4-tym numerze znajduje się tylko krótka notatka w „Kronice“: „Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie wyszła powieść współczesna Maurycego Zycha p. t. „Syzyfowe Prace“, osnuta na tle stosunków szkolnych w Królestwie. Niepospolity talent autora „Mogiły“ i „Rozdzióbią nas kruki, wrony“ ujawnia się i w tej nowej powieści. Skład główny na Kraków u W-go Stefana Bernackiego, ulica Sławkowska L. 6“.

Gdy się patrzy na wspaniały gmach żeńskiego gimnazjum, wprost rozczulenie budzi artykuł dyr. Bronisława Trzaskowskiego. Zaczyna się on tak: „Pod dobremi auspicjami rozpoczęło gimnazjum żeńskie w Krakowie **drugi rok swego istnienia**. W klasie drugiej nie ubyła ani jedna z tych, które otrzymały promocję (naturalnie z I-szej klasy poprzedniego roku), a w miejsce dwóch, które jej nie uzyskały, wstąpiły na podstawie egzaminu wstępnego dwie inne. Do klasy pierwszej zapisało się 28, tak, że obecnie liczy zakład 53 uczennic... A dalej dyskutując z przeciwnikami, mówi autor: „Wskazana wyżej frekwencja uczennic krakowskiego gimnazjum dowodzi jawnie, że społeczeństwo inteligentne, mimo przeciwnych głosów, czuje potrzebę takiej szkoły i że szkoła ta już w I-szym roku swego istnienia potrafiła sobie zjednać zaufanie rodziców. Jakoż odbieramy od nich ustne i pisemne podziękowania i oświadczenia, że widzą w córkach swoich znaczny rozwój umysłowy i poważniejszy pogląd na życie, nie spostrzegając nic złego, czem przeciwnicy tej szkoły starają się powstrzymać społeczność od posyłania do niej swych córek. Chcielibyśmy, aby szkoła nasza miała szklanne ściany, by każdy, a szczególnie jej przeciwnicy mogli widzieć i słyszeć, jak szkoła prowadzi powierzoną sobie młodzież, czego i jak uczy“. A w numerze 4-tym w „Echach“:

„Dopuszczenie kobiet do studjów uniwersyteckich stanowi w chwili otwarcia podwojów Almy Mater główny przedmiot rozmów prywatnych... Baron Gautsch dozwolił kobiecie studjować filozofję. Do studjów medycyny, praw, jeszcze ich nie chce dopuścić. Czemu? Czy dlatego, że studja na tych fakultetach uważa za zbyt uciążliwe dla mózgów kobiecych? W takim razie pan minister ma bardzo niskie pojęcie o powadze studjów filozoficznych“ etc. Doprawdy, przypominają się „Kobiety z rodu Coornvelt'ów. Zwłaszcza, że w 3-cim numerze znajduje się artykuł Marji Szeliga (prezeski l'Union Universelle des Femmes). Zaczyna się on: „walka płci poprzedziła jeszcze walkę klas“, dalej autorka powołuje się na matrjarchat u plemion pierwotnych i ciągnie: „W Germanji, u Słowian, zwłaszcza u Celtów i Gallów, kobieta piastowała godność kapłańską, stanowiła trybunał wojenny, brała udział we wszelkich sprawach społecznego życia, i dopiero rzymskie podboje wniosły do Galji obyczaje przedtem nieznane, krępowanie woli, władzy i wolności kobiety prawami przyznającemi we wszystkiem przewagę mężczyźnie“, a dalej „współwyznawcy męscy, nie koniecznie zgodnie z zasadami Chrystusa, troskliwi o posiadanie świeckich dóbr, któremi rozporządzały niewiasty, częstokroć stojące na czele rodów, używali wszelkich sposobów, aby właściwy ster interesów tworzących się państw, przeszedł w ich ręce, przez długie już wieki nawykłe do władzy. Historje tych walk, w których przyjmowały czynny udział królowe, przełożone klasztorów, duchowieństwo, rycerstwo, wielkie domy i bractwa żebrzące, odnaleźć można w starych księgach i kronikach“. A propos głosowania kobiet we Francji: „w roku 1789, dnia 27 kwietnia, zwołana poraz ostatni ogólna reprezentacja Stanów (Etats Généraux) w formule wezwania świadczy, że nie dalej, jak przed stu laty obie płci we Francji wysyłały delegatów wybieralnych przez głosowanie zupełnie równoważne wyborom deputowanych, w których w teraźniejszych czasach uczestniczyć nie wolno. Śmiesznie jest pomyśleć, że to samo prawo, które przysługiwało długie wieki pra-pra-babkom teraźniejszych pokoleń, zniesione dopiero przez rewolucje francuską, reklamowane obecnie przez partję feministyczną wzbudza taki przestrach“. A jeszcze śmieśniejsze jest pomyśleć, że ta sprawa we Francji jeszcze do dziś dnia nie jest uregulowana.

Na zakończenie jeszcze dwie notatki. Jedna znowu z „Przeglądu przeglądów“: „Revue des deux mondes“ zamieszcza w ostatnim numerze ciekawe socjalno-ekonomiczne studjum o społecznej ewolucji współczesnej Rosji. Autor Anatole Leroy-Beaulieu wykazuje, że Rosja już w krótkim czasie będzie przechodzić te same socjalne burze, które wstrząsają obecnie resztą kulturalnego świata“.

No to wyprorokował.

Druga z Korespondencji z Zakopanego Ka... za... pisze tam: „Zakopane upada — to już nie ulega żadnej wątpliwości, jeżeli w tym roku przybyło o 1500 osób mniej, aniżeli w roku zeszłym“. Żeby wszystko w Polsce tak upadało, jak upadło Zakopane!

jurk.

JERZY POREMBSKI.

Jeszcze o teatrach moskiewskich.

Wyrosłe z kultury socjalistycznej masy społeczeństwa rosyjskiego mają tak wielkie zapotrzebowanie na dobre pod względem ideowym i artystycznym widowisko, że istniejąca na terenie Z. S. R. R. ogromna sieć teatrów nie wystarcza do zupełnego i wszechstronnego obsłużenia widza. Siła teatru sowieckiego tkwi w jego stałym kontakcie z pracującymi widzami, w zainteresowaniu ich troskami i dążeniami... Ten kontakt daje teatrowi niewyczerpane niemal bogactwo myśli, idej, oraz ogromny impuls do twórczości artystycznej.

Zasadnicze problematy, jakie wysuwa scena sowiecka, to ukazanie nowego człowieka, człowieka z epoki socjalistycznej z całem jego skomplikowaniem i sprzecznościami. Ukazanie procesu powstawania nowych zrębów oryginalnej kultury. W procesie walki o nowy ustrój ludzkości i nowe formy życia, sztuka i teatr wtedy tylko są twórcze, kiedy przy ich pomocy przetwarza się psychika człowieka i kształtuje się mocno jego świadomość. Ta nowa świadomość sowiecka zaczęła wysuwać nowe, coraz bardziej skomplikowane i interesujące problematy, budzące w artyście organiczną potrzebę dania na nie odpowiedzi środkami nowej sztuki. I teatr sowiecki zaczął pracować nad nową problematyką epoki. Rewolucja rosyjska, to burzliwe przewartościowanie wszelkich wartości, wysunęła przed rosyjskim teatrem zasadnicze zagadnienie w imię czego powstają wartości artystyczne i jakim celom służą. Zrodziło ono całe szeregi podobnych zagadnień, czekających na rozwiązanie. Życie dopiero i rzeczywistość sowiecka wyrównała i określiła te znaki zapytania i niedociągnięcia z niezrozumienia dążeń i kręgu zainteresowań wynikłe.

W pierwszych latach porewolucyjnych, większość teatrów rosyjskich odnosiła się do rewolucji z rezerwą lub zgoła wrogo nastawiała się do nowego rzeczy porządku.

Tairow uważał rewolucję za krótkotrwały experyment, tak krótkotrwały, że nie warto było do kierunku jego dążeń dostosowywać kierunku sceny rosyjskiej.

Teatr kameralny zwany też często teatrem Tairowa powstał przed rewolucją w roku 1914. Teatr ten powstał jako kierunek ściśle estetyczny, bardzo wyrafinowany artystycznie zawsze jednak apolityczny. Był on początkowo teatrem walki z ideologją mieszczańską i obrazującym ją na scenie naturalizmem. Na jego repertuar składały się przeważnie sztuki pisarzy europejskich, grawitujących ku mistyce i symbolizmowi... Zdawało się, że teatr Tairowa nigdy nie dostosuje się do nowych warunków życia, jakie dała Rosji październikowa rewolucja. Rzeczywiście teatr ten początkowo nawet wrogo nastawiany do socjalizmu z trudem przystosował się do nowych warunków społecznych. Obecnie teatr kameralny ciąży ku bliskiej mu patetyce dramatu wierszem i możliwie, że na tej drodze odniesie poważne sukcesy. Jest on pod względem formy wyjątkowa wartością w gamie światowej. Wyrósł on z teatru narodowego, lecz znalazł międzynarodowo zrozumiały język sceniczny, dzięki któremu widowiska jego w całym nieomal świecie cieszą się jednakiem powodzeniem. Miał teatr kameralny przed sobą zadanie, jak po wyborze mających największą wartość metod sztuki, rozszerzyć je i wzbogacić tak dalece, by przy ich pomocy ogarnąć wielopłaszczyznowe skomplikowanie nowej epoki, i twórczo ukazać ją w pracach scenicznych. Zdąża teatr ten do rekonstrukcji całej sztuki teatralnej i ustalenia nowego stylu epoki. Jedno z najwybitniejszych bezsprzecznie miejsc wśród teatrów sowieckich zajmuje moskiewski teatr wcześnie zmarłego reżysera Wachtangowa. Zdążył on zaledwie zaznaczyć podstawy swojego systemu, który odznaczał się ostrym zwrotem w kierunku współczesności. Obecnie kolektyw uczniów Wachtangowa przeszedł do realizmu scenicznego bardzo sugestywnego. Przedstawieniem, które wyrobiło teatrowi Wachtangowa sławę była sztuka „Turandot“ Gozziego. Widowisko to nie miało jeszcze nic wspólnego z realizmem. Na scenę, chcąc podkreślić grę z życiem kontrastującą, weszli aktorzy w ubraniach wieczorowych i dopiero w oczach widzów przebierali się w komicznie kolorowe kostjumy. W roku 1927 z wielkim

powodzeniem wystawił teatr Wachtangowa sztukę Ławrenjewa p. t. „Rozłam“. Wtedy to uwypukliła się pełnia zdolności reżysera i malarza tegoż teatru Akimowa.

Teatr sowiecki szuka stale nowych dróg, nowych obrazów, które by wyzwolone z manjer epok ubiegłych odzwierciedlały plastycznie, realnie trwale i syntetycznie całe bogactwo intelektualne obecnej epoki.

Jerzy Porembski.

Trzy mgły.

Poemat dramatyczny w trzech aktach. Premjera w teatrze krakowskim.

Człowiek przez wielkie „C“ przedwojenny, stojący u szczytu swych dążeń, napotyka w drodze życia trzy mgły: „Miłość, złoto i sławę“. Kuszą go, ciągną ku sobie, i już, już podaje im rękę, ale znak co „trąca w klawisze trumien“ każe mu uciekać i wyrzec się marzeń:

„Niech pęka pokoju sześcian,
Cierpieniem lepkiem odęty,
Ja tak tęskniłem do szczęścia
Do sytu wielkości i święta.

Minęła dziewczyna; za dziewczyną [lato.
Za latem piękna doczesnego sen...

Stary, idący nieprzerwanie naprzód Czas, szydzi z jego słabości:

„Szanuj je, cackaj, jak kościelne [wota,
Przecież to Twoje marzenia...

Czas — wieczność drwi dalej, ale Człowiek wyrywa mu się z objęć i staje się jedynym, co trzyma wieczność w ręku, staje się maszynistą w pociągu, któremu na imię Polska. Pociąg, w którym jest tyle klas;

„Handlarze, plebs, politycy
Pędzi przez pola na wskos“.

Pędzi naprzód niewstrzymany, naprożno Człowiek odwraca czas, hasło rzucone. W duszy Człowieka rodzi się patrjota. Zapomina o sobie, poświęca się cały idei Czynu Legjonowego. W boju o niepodległość traci narzeczoną, traci rękę, lecz mimo kalectwa, walczy dalej, umacnia, buduje gmach państwa. Pomaga mu wytrwale kolega. Obaj wierzą w zwycięstwo idei w siłę Krakowa:

„Wierzę, że póki nasze żyje miasto,
sprawie nie damy ulec, ani zginać.

Trza tylko w ulic kurytarze wbiedz
I gruchnąć głosem w ciche okna
A zakwitną na ulicach uśmiechnięte [twarze...“

Ruszy się tłum pomagać robotnikom, bo jest ich zamało, nie mają sił, by wciągnąć na szczyt domu głaz-olbrzym, ciężki jak dola narodu zmęczonego wojną. By go ruszyć, potrzeba zbiorowego wysiłku całego narodu, potrzeba miljona ludzi. Na rzucone hasło zbierają się wszystkie stany, lecz naprożno się trudzą:

„Głaz ani drgnął“.

Człowiek domyśla się wreszcie, że:

„Tu kogoś brakuje,
Może właśnie kogoś,
Na kogo tak długo trzeba zawsze [czekać“.

Ten „ktoś“, to młodzież, przyszłość narodu, która przypadkiem bawiąc się, przychodzi na budowę.

Przywódca jej zrozumiawszy ważność chwili dochodzi do wniosku: trza im pomóc;

„Pióropusz sławy dziecięcej,
Drewniany miecz
Papierowe mundury precz!
Mało rąk, trzeba więcej, do lin!
I oto głaz zadrżał, teraz idzie do [góry
Tyle trza było rąk“.

Człowieka grał bez zarzutu p. Józef Karbowski z zrozumieniem roli i rutyną doświadczonego artysty. Dzielnym „Kolegą“ był p. J. Kaliszewski, doskonale młody i pełen zapału. P. Suchecka świetna krasawica, mająca w sobie coś z Wyspiańskiego, bardzo subtelna, nie zawiodła i w drugim akcie jako siostra miłosierdzia.

PP. K. Nowakowski, Fabisiak, Białkowski, Macherski, Staszewski pięknie podkreślali oryginalność sztuki.

Świetne sceny zbiorowe, chóry i wypieszczona całość, to zasługa p. W. Badulskiego, młodego, lecz jednego z najlepszych polskich reżyserów, świeżo pozyskanego dla Teatru Krakowskiego, który dzięki niezwykłej inteligencji i odczuciu myśli autora, — uniknął wielu możliwych przejaskrawień i postawił „Trzy Mgły“ na bardzo wysokim poziomie. — Oprawa malarska p. T. Orłowicza doskonała, a że była debjutem, więc tem większa jego zasługa dla teatru i sztuki.

Lesław Petecki.

Szesnastolatka.

Szesnastoletnia dziewczyna wychowywana była przez matkę, idealizującą jej niepotrzebnie, bo wbrew minionej rzeczywistości, postać zmarłego ojca. Dziewczyna tworzy sobie zupełnie fałszywe pojęcie o przeszłości, i gdy matka chce ponownie wyjść zamąż, odczuwa to jako sprzeniewierzenie się i kalanie pamięci ojca. A że jest bardzo wrażliwa i pod pewnym względem przeczulona, doznaje gwałtownego wstrząsu moralnego. Ostatecznie jednak sztuka kończy się niezupełnie potrzebnym happy-endem.

Autorzy dali tu świetną charakterystykę dwóch krańcowo różnych typów dorastających dziewczynek. Starsza, szesnastolatka, posiada chorobliwy poprostu instynkt macierzyński w stosunku do babki i matki. Ponadto, mimo swej ogromnej i czułej miłości do matki, nie może zrozumieć wartości ponownego jej małżeństwa, które matce da szczęście i niezależność materjalną. Uważa bowiem, że matka winna nazawsze zostać wierna ojcu.

Młodsza jej siostra nie jest tak silnie uczuciowa i rozwinięta. Stosunek jej do otoczenia jest jeszcze dziecinny, pierwotny, obok miłości pełen i egoizmu. Postać jej jednak, tryskająca żywiołowym temperamentem i humorem, jest nam bardzo sympatyczna.

Ciekawy i trudny temat sztuki udramatyzowany jest pomysłowo i życiowo prawdziwie. Bardzo przyjemnie wypadają epizody komedjowe, kontrastując łagodząco z tragicznem tłem.

Dawno już nie oglądaliśmy na scenie krakowskiej zespołu aktorskiego tak wyrównanego i to na tak wysokim poziomie. Niewątpliwie poważnie przyczyniła się do tego niezwykle szczęśliwa obsada, ale w głównej mierze jest to zasługą reżyserji p. Stanisławy Wysockiej, wnoszącej na scenę szczerość i nastrój. Jako aktorka zaś, wybiła się na czoło w roli rozumnej babuni, pozwalając nam podziwiać swe opanowanie i subtelny djalog. Wsponiale także zagrały pp. Bednarska i Matusiakówna w roli sióstr, reszta zespołu doskonała.

JOT.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pan Burda, Kraków: Odpowiedź listownie.

Pan Szlanger, Kraków: Dziękujemy za uwagi i prosimy o dalszą współpracę. Jeden wiersz idzie.

Pan „A“, Kraków: Artykuły należy pisać czytelnie, atramentem i jednostronnie.

Pan Zet, Kraków: Ani jedno, ani drugie.

Pan J. Sirecki: Pismo piękne, sentencja też, lecz fragment nie. Nie skorzystamy.

Zebrania redakcji co piątek o godzinie 7-mej w Barze Mieszczańskim przy ul. Sławkowskiej.

Redaktor odpowiedzialny: Pustelnik Władysław, adres red. i adm. Karmelicka 33/3. Wydawca: Jurkiewicz Jerzy

Redaguje młodzież akademicka. — Dział plastyki: Gliwa i Bojkow.

Drukarnia „GŁOSU NARODU“ w Krakowie pod zarządem Romana Ferka.